

# Emil Stanisław Rappaport

---

## Moje czasy adwokackie (1906-1917) : (fragmenty wspomnień) : Warszawskie Koło Prawników Polskich

---

Palestra 3/2-3(14-15), 32-39

---

1959

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Dr EMIL STANISŁAW RAPPAPORT  
profesor Uniwersytetu Łódzkiego

## Moje czasy adwokackie (1906-1917)

(Fragmenty wspomnień)

### **Warszawskie Koło Prawników Polskich<sup>1</sup>**

1. Organizacja ta powstała, jako nie ulegalizowana, z początkiem XX stulecia, gdy grupki wybitnych „Kilińszczyków”, uczestników demonstracji ku czci Kilińskiego, ukaranych relegacją z Uniwersytetu Warszawskiego, i „kontr-Apuchtinowców” (znany rusyifikator, kurator okręgu warszawskiego) ukończyły studia prawnicze w innych uniwersytetach (przeważnie w Dorpacie, ale również i w Odessie, Kazaniu itd.). Powrócili oni do Warszawy już jako „pomocnicy adwokata przysięgłego”, a więc jako młodzi aplikanci adwokacy, pracujący w kancelariach wybitnych „mecenasów” warszawskich.

Na czele organizacji od początku stanął cieszący się dużą popularnością młody działacz, zawodowo specjalizujący się w pracy hipotecznej, Leon Supiński, późniejszy wicekomendant Straży Obywatelskiej, potem Minister Sprawiedliwości (w końcu 1918 i na początku 1919 r.) i wreszcie długoletni (przed i po drugiej wojnie światowej — z przerwami) Pierwszy Prezes Sądu Najwyższego. Wokół niego skupiło się grono wyróżniających się ówczesnych młodych prawników (Herman Eberhardt, Władysław Chrzanowski, Antoni Jurkowski, Wiktor Krypski, Jan Nowodworski, Władysław Olewski, Stanisław Popowski, Jan Przanowski, Jerzy Skokowski, Adam Taubwurcel i inni) i nadało od razu, w okresie tajności (1900-1905), całej organizacji charakter wysokiego cenzusu moralnego, jakiemu powinien był odpowiadać kandydat na członka Koła (młodych) prawników polskich.

---

<sup>1</sup> Jest to fragment II „Moich czasów adwokackich”. Fragment I opublikowany został w nrze 2 „Palestry” z 1958 r.

W 1906 roku, gdy po wejściu mym do palestry warszawskiej zaproponowano mi wstąpienie do tego wybranego „Koła młodych”, organizacja ta miała nie tylko w opinii sfer prawniczych, ale również i w opinii ogółu ustaloną ocenę. Należenie do „Koła Prawników Polskich” było zaszczytem, było rekomendacją wartości osobistej, było dowodem przejścia przez sito nader skrupulatnego balotowania.

Po wejściu do „Koła Prawników Polskich”, wkrótce wszedłem do Komisji utworzonej dla opracowania, a następnie zalegalizowania statutu „Koła”, po czym w 1908 r. zostałem wybrany na członka pierwszego statutowego Zarządu i mandat ten — z przerwą podrózną w celach naukowych (Berlin, Londyn, Paryż, Neuchâtel) — pełniłem w ciągu niemal lat dziesięciu, tj. do chwili opuszczenia adwokatury i wstąpienia na stałe w szeregi magistratury sądowej odradzającego się z trudem i wśród wielu przeszkód Państwa Polskiego.

Wraz ze mną lub niezadługo po mnie pomnożyły składy kolejne zarządu „Koła” nowe wartościowe siły koleżeńskie spośród mych rówieśników, a po części kolegów uniwersyteckich, jak np. Antoni Bogucki, Teodor Bojanowicz, Marcełi Lemieszewski, Stefan Sieczkowski, Tadeusz Tomaszewski<sup>2</sup> i inni, a spośród starszych od nas — mecenas Olech Federowicz i Marek Kuratów-Kuratowski.

Ten mój pierwszy okres samodzielnej pracy prawniczej w „lecie” życia był od razu nie mniej intensywny niż następny, „jesienny”, już jako członek Sądu Najwyższego i Sekretarza Generalnego Komisji Kodyfikacyjnej. Lecz wśród mych licznych zajęć ówczesnych, mniej zawodowych, ale za to bardziej prawniczo-społecznych i publicystycznych, „Koło Prawników Polskich” zajmowało miejsce specjalne. To było *sacro sanctum* wyrobienia etycznego i patriotycznego młodych polskich działaczy prawniczych, zwłaszcza tych, których obdarzono zaufaniem piastowania mandatu reprezentacyjnego w Zarządzie. Tu zawierały się i krzepiły przyjaźnie (tak później rzadkie w walce życiowej) i stosunki koleżeńskie, które później trwały przez długie lata, mocno oparte na tych „młodych” fundamentach. Był to okres, w którym brydż (właściwie ówczesny wint) i kolacyjki zajmowały nam stosunkowo mało czasu. Byliśmy młodzi i bawiliśmy się również, jak nasi poprzednicy i następcy, ale zabawa wobec otwierających się nowych dużych możliwości dla pol-

<sup>2</sup> Wszyscy wymienieni ówcześni wybitni prawnicy już dziś nie żyją.

skiego pokolenia prawniczego początku XX stulecia stanęła niejako z istoty rzeczy na drugim planie.

2. Program życiowy dnia codziennego tych „synów prawniczych” ze środowiska ówczesnej burżuazyjnej inteligencji polskiej w jej różnych odcieniach politycznych, społecznych i towarzyskich przenikał pewien specyficzny optymizm i poryw ciężkiej niekiedy pracy niezarobkowej, która stawała się drogą umysłowi i sercu, napełniała je dumą i nadzieją na lepsze polskie jutro. Były to czasy — pomimo boleśnie odczuwanych cieni zależności politycznej — nie pozbawione jednak skąpych jeszcze światła i poczucia celowości czynionych wysiłków organizacyjnych, które na ogół nie spotykały się z objawami szczególnych utrudnień ze strony carskich władz administracyjnych. Władze te pilnowały i szpiegowały wprawdzie starannie, aby cała ta nowa robota polska, dokonywana na legalnej powierzchni życia publicznego, obracała się w ściśle określonych ramach, ale do treści tej pracy (w granicach uprawnień statutu stowarzyszeniowego, zwłaszcza w pierwszych latach *quasi*-konstytucyjności roku 1905 i n.) zbytnio się nie wtrącały, skupiając całą swą energię niszczycielską na tępieniu tajnego, socjalistycznego i zdecydowanie rewolucyjnego ówczesnego podziemia polskiego.

„Koło Prawników Polskich” rosło tedy — na ogół bez przeszkód — w liczbę członków i powagę, stworzyło lokal odczytowy i rozrywkowy, bibliotekę i pomyślało o serii właściwych publikacji, nad którymi sprawowałem pieczę, jako długoletni bibliotekarz Zarządu i referent wydawniczy i z tego tytułu redaktor rozpoczynanego wtedy zbioru. Wydaliśmy mianowicie w latach 1911—14 charakterystykę Jana Olrycha Szanieckiego, adwokata i posła-ministra z epoki konstytucyjności Królestwa, w opracowaniu Marcellego Handelsmana oraz dwa tomy „Wyboru obron sądowych Adolfa Peplowskiego”, z których tom I udało się, z nie drukowanych przeważnie niekompletnych rękopisów, skonstruować pod bezpośrednim kierunkiem informacyjnym znakomitego tych obron autora. Redaktorem tomu drugiego był mec. Jan Nowodworski (p. niżej).

3. Był to epizod mej działalności w „Kole” szczególnie dla mych wspomnień osobistych drogi. Nigdy przedtem i nigdy już potem nie zetknąłem się z tym tytanem polskiej walki obrończej w sądach carskich tak blisko i serdecznie. Dziś jeszcze żywo staje mi przed oczyma ta jasna, pełna wyrazu twarz z sumiastym wąsem, tak charakterystycznie polska, poorana już wiekiem i śladami choroby sercowej. Twarz raczej dawnego ziemianina na roli i we dworze niż długoletniego „domownika” sal i kancelarii sądowych.

W sposobie przygotowywania swych słynnych na całą Polskę — odwagą i powagą — obron sądowych Pełowski był raczej artystą niż myślicielem. Opracowywał te mowy gruntownie, przygotowywał drobniawo materiały, ale wszystko to dzięki fenomenalnej pamięci rozdziło się niemal bez notat, a tym bardziej bez obszerniejszych wypisów lub pierworysów, i trwało tak w umyśle aż do chwili wypowiedzenia mowy przed sądem, często zmieniane lub uzupełniane doraźnie w sądzie w zależności od przebiegu przewodu sądowego lub zygzaków polemiki z oskarżycielem publicznym. Ci młodzi rosyjscy prokuratorowie bali się owej gotowości słownej, owej zdolności „retorsyjnej” w odpowiedziach Pełowskiego jak ognia. Powaga mówcy, jego rozgłos, jego postać sama, jego zdolność, by w formie poprawnej zawrzeć treść śmiałej uwagi lub wprost ośmieszającej przeciwnika cytaty — nakazywały oględność, ale też i szacunek.

Po rosyjsku Pełowski mówił bardzo dobrze. Skończywszy w Rosji wyższe studia akademickie — filologiczne i prawnicze — a następnie spędziwszy tam szereg lat na zesłaniu popowstaniowym, poznał mowę, ludzi i literaturę, której materiałem posiłkował się niekiedy w mowach nader złośliwie, ale nigdy trywialnie. Na akcent czysto rosyjski jednak się nie silił; w ogóle nie zależało mu na imponowaniu sędziom Rosjanom. W sądzie był grzeczny, zimny i duchowo niedostępny. Jeśli imponował istotnie, to właśnie samym brakiem pozy lub zgrywania się przed sądem obcym, sądem, przed którym celem bronięcia oskarżonych Polaków stawać jednak musiał.

4. Z powyższego łatwo wywnioskować, jakie nastęrczały się trudności redaktorowi jego mów sądowych przy rekonstruowaniu materiału do druku, pomimo szczerej gotowości ówczesnego seniora palestry warszawskiej do ułatwienia mi pracy i wdzięczności nie ukrywanej, że „Koło” o odratowaniu jego przemówień pomyślało. Jak dziś pamiętam (rok 1911) obszerny gabinet pracy w Alejach Jerozolimskich w jednym z domów za hotelem Polonia. Już nie ten gabinet istotnej działalności na ulicy Elektorальной, gdzie Adolf Pełowski spędził długie lata, lecz raczej gabinet wspomnień o tej działalności, zavalony książkami, dawnymi meblami, wreszcie aktami.

Akta spraw prowadzonych, nawet najgłośniejszych, zawierały po kilka kartek, jakiś akt oskarżenia lub protokół rosyjski, jakieś polskie sprawozdanie z przebiegu rozprawy w piśmie codziennym, jakąś notatkę odręczną, często kilkowierszową, pisaną na rozprawie a zrozumiałą w danym momencie tylko dla jej autora. Wreszcie w niewielu wypadkach, i to głównie co do obron polskich okresu początkowej działalności Pe-

płowskiego (1874—1876), zachowano w aktach własnoręczne opracowanie obowiązującego podówczas pisemnego głosu obrończego, a niekiedy i repliki. W tych warunkach pozostawało jedynie wykorzystać pamięć autora obron, jego wspomnienia. On opowiadał, a ja — słuchałem, rozkoszowałem się treścią i notowałem. Zupełny brak snobizmu, a choćby ambicji informacyjnych o sobie wyraził się charakterystycznie u Peplowskiego w tym właśnie, że owe akta sądowe były raczej dodatkiem do jego ukochanych książek; leżały na nich i pod nimi, leżały również — zapomniane — po szufladkach szaf i komór, skąd je wyciągałem przy pomocy zaufanej służącej, bo sam autor obron o miejscu znajdowania się tych akt kapitalnej wartości najmniejszego nie miał wyobrażenia. Co się znalazło, prawdziwie jak w kopalni, to Peplowski przeglądał, czasami uzupełniał, najczęściej dyktując mi swe uwagi, i opowiadał, opowiadał..., tworząc swych obron nową, już nie rzeczywistą, lecz jedynie wspomnieniową edycję. I taką już ona pozostała jedynie w mojej żywej pamięci, nigdzie nie uzewnętrzniona...

Nie sądzone było mec. Peplowskiemu stanąć znów jako obrońcy przed sądem własnym, sądem polskim. Gdy w roku 1915, w pamiętnym sierpniu, pierwszy skład sądzący Trybunału Obywatelskiego (Władysław Chrzanowski, Jerzy Skokowski i ja) zjawił się u Peplowskiego, zastał schorzałego starca, niezmiernie wzruszonego tym aktem hołdu, ale będącego już tylko cieniem samego siebie. W zaraniu roku następnego największy obrońca karny lat przedwojennych zamknął oczy na zawsze.

5. Najwydatniejszą działalność rozwinęło „Koło Prawników Polskich” w okresie I wojny światowej (1914—1918). Ono to właśnie było — w osobach swych kierowniczych przedstawicieli — współorganizatorem szeregu nowych ogólnoprawniczych organizacji warszawskich, uzasadnionych potrzebami chwili. Ono to wraz z „Sokołem” przygotowało, a następnie powołało do życia Straż Obywatelską 1915 roku z prezesami obu instytucji: Stanisławem Popowskim (Komendant Główny) i Leonem Supińskim (Zastępca Komendanta) na czele, ono zorganizowało również wraz z Towarzystwem Prawniczym i delegacją adwokatury warszawskiej sądy obywatelskie w Warszawie w 1915 r. Ono wreszcie współpracowało przy tworzeniu pierwocin sądów państwowych królewsko-polskich (1917), zaakceptowawszy zainicjowany przeze mnie w dniu 3 grudnia 1916 r. jako współdelegata Koła Komitet Sądowy w Warszawie (1917), następnie Komisję Kierowniczą Organizacji Sądownictwa (1917), a później Radę Główną Zrzeszeń Prawniczych Królestwa Polskiego (1918).

W okresie przejściowym w 1916 r., tj. między rozwiązaniem sądów obywatelskich w 1915 r. a utworzeniem sądów państwowych królewsko-polskich w 1917 r., członkowie „Koła Prawników” w ówczesnej działalności sądowniczej na obszarze obu generał-gubernatorstw okupacyjnych udziału nie brali.

Z chwilą odrodzenia się niepodległej Rzeczypospolitej powstały nowe organizacje prawnicze, w których skupiła się działalność ogólnopanstwowa, społeczna i publicystyczna prawnictwa polskiego. Rola „Koła Prawników Polskich” — z istoty rzeczy — zmalała. „Koło” z kuźni młodych sił prawniczych i ich inicjatywy twórczej na polu pracy fachowej, społecznej i państwowej stawało się powoli największym stołecznym klubem prawniczym, a cel wyłącznie niemal rozrywkowy przesłonił dawno tak odmienne tradycje. Działalność zarządu „Koła” z lat 1906—1917 dobiegła kresu.

Zaznaczyć należy, że ówczesne zróżnicowanie polityczne ogólne sprawiło, iż na terenie tego nowego Koła-Klubu o odmiennej niż poprzednio treści zapanowały specyficzne wpływy polityczne w sensie przewagi elementów narodowo-demokratycznych, co w dalszym biegu wypadków doprowadziło łączące przez lat kilkanaście różne polityczne odłamy „Koła Prawników Polskich” do zaniku. Drugim z kolei a pierwszym i ostatnim zarazem prezesem zarządu tego co do treści odmiennego Koła-Klubu, w którym udziału już nie brałem, był długoletni członek pierwszego zarządu Koła, dziekan adwokatury warszawskiej i poseł narodowo-demokratyczny w latach następnych — Jan Nowodworski, brat przyrodni mecenasa, posła polskiego w I Dumie, redaktora „Kurieria Warszawskiego” i wreszcie prezesa a następnie I Prezesa Sądu Najwyższego Franciszka Nowodworskiego.

6. Jak już zaznaczyłem wyżej, poprzednio, tj. w okresach między wojnami lat 1904—5 i 1917—18, „Koło” łączyło przez długi czas różne elementy polityczne (narodowych demokratów, radykalnych postępowców działających na legalnej powierzchni życia socjalistów, a nawet politycznie bezpartyjnych). Działo się tak nawet wtedy, gdy „Koło” w osobach członków swego zarządu nawiązało (w roku 1917), zresztą dość luźny, kontakt z rozpoczynającym podówczas swą rzekomo socjalistyczną działalność organizacyjną — już na terenie stolicy — brygadierem Józefem Piłsudskim.

Żywo stoi mi w pamięci scena wizyty późniejszego Naczelnika Państwa i Pierwszego Marszałka Polski międzywojennej w lokalu „Koła”

wczesną wiosną 1917 r. Istniała już wtedy Tymczasowa Rada Stanu i jej Departament Sprawiedliwości (dyrektorem był Stanisław Bukowiecki, wicedyrektorem — Wacław Makowski). Prawnictwo Warszawy żyło myślą o zbliżającej się organizacji państwowej sądownictwa rodzimego, a jeden z jego ośrodków społecznych najwydatniejszych, „Koło Prawników Polskich”, zmobilizowało swe najczynniejsze siły, by służyły swą energią i pomocą zarówno świeżo powołanemu do życia społecznemu Komitetowi Sądowemu, jak i pepinierze państwowej sądownictwa polskiego — Departamentowi Sprawiedliwości.

Józef Piłsudski przybył do „Koła” z nieodłącznym swym podówcą adiutantem, porucznikiem (późniejszym generałem) drem Wieniawą-Długoszewskim. Brygadier zdecydował się wziąć udział w skromnym poczęstunku „biwakowym” i przemówić do nas. Wysłuchano zwięzłego a charakterystycznego przemówienia Komendanta o częstej konieczności — w jego poprzednim życiu publicznym — łamania prawa narzuconego siłą oraz o następującej się potrzebie tworzenia w danym momencie historycznym podwalin nowego istotnego prawa rodzimego, prawa polskiego. Piłsudski zasiadł przy stołach w podkowie w tak dla niego niezwykłym otoczeniu, wśród prawników, „palestrantów”, znawców artykułów i paragrafów prawnych, tak dalekich od sfery jego militarnych zainteresowań. Rozmawiał wyłącznie ze swymi sąsiadami Supińskim i Makowskim w sposób pozornie serdeczny, lecz nie pozbawiony nieco sztucznej dostojności. Siedziałem obok Makowskiego tak blisko Komendanta, że mogłem z całą dokładnością śledzić grę wrażeń na tej sztucznie marsowej, pełnej tajemniczości twarzy przyszłego wodza Polski sanacyjnej. Naprzeciwko Piłsudskiego, w półkołu podkowy, zasiadł jeden z najstarszych prawników-adwokatów w pierwocinach swej młodości, porucznik powstańczy 1863 r., mec. Wacław Horodyński.

Nigdy nie zapomnę epizodu tej wizyty, który dzięki Horodyńskiemu powstał samorzutnie. Gdy wszyscy zasiedli przy stołach bliższych i dalszych i gdy nastąpiła chwila pauzy przed podaniem posiłku — nagle wstał wiarus powstańczy, przybrał wojskową postawę na baczność i zameldował się Józefowi Piłsudskiemu jako spadkobiercy jego dawnych powstańczych dowódców.

Horodyński mówił krótko, wyraziście, jakby składał raport o 1863 roku, o dalszych latach ubiegłego stulecia i o pierwszych stulecia bieżącego, gdy imię nowego powstańczego wodza już się przedzierało stopniowo przez ciemnie podziemnej w Galicji „roboty”. Wtedy padły z ust b. porucznika powstańczego nazwiska Stefana Okrzei i Grzegorza Montwiłła-Mireckiego, bohaterów ruchu rewolucyjnego lat 1906—1908.



Twarz Piłsudskiego jakby stężała, oczy pogłębiły się skupieniem. W milczeniu słuchał raportu Horodyńskiego. Przy dźwięku nazwiska Montwiłła Piłsudski drgnął i wtedy padły z ust jego słowa: „Montwiłł — to był jeden z moich pierwszych najlepszych żołnierzy. Potomek tamtych — sprzed laty”. Mec. Horodyński już na ten okrzyk nie zareagował odpowiedzią i epizod „przyjęcia w Kole” się zakończył.

Była to jedyna wizyta Józefa Piłsudskiego w zrzeczeniu prawniczym. Nigdy już potem przyszły sanacyjny Naczelnik Państwa i Pierwszy Marszałek Polski okresu międzywojennego w gościnie specjalnej u prawników się nie pojawił.